№ 34. Warszawa, dnia 10 (22) Sierpnia 1883 r. Rok XVIII.—Tom XIX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 2 sgr. 20.

WŁADYSŁAW LUDWIK

ANCZYC.

„Kazimierz Góralczyk“ nie żyje. Z wybornego pisarza ludowego pozostała już tylko odrobina kości i pamięć prac, których za życia dokonał. Nietylko Góralczyk, ale i Anczyc ma miejsce w historyi literatury naszej; to jednak, co Góralczyk zrobił, przetrwa pracę Anczycową: nieboszczyk był z całego nastroju swego ducha, z całego uzdolnienia, nauczycielem ludu i dzieci: i na tym urzędzie znać go będzie potomność. Pisarzów ludowych mieliśmy wielu; Anczyc pierwszy za dni naszych wytworzył teatr ludowy: sztuki, które powołanie swoje wtedy-by dopiero spełniły i pokazały całą swą pedagogiczną, umoralniającą dzielność, gdyby chłopi na nie patrzeć, a nawet sami odegrywać je mogli. W młodości swojej zapaleniec szlachetny — na wiek późniejszy zatrzymał tę miłość podwójną, która umie kochać i to, co specyalnie swoje, i to, co ogólnie ludzkie. Nigdy ostrze satyry jego nie odsłoniło zpod powłoki człowieczej niepoprawnego źwierzęcia; nigdy pióro nie napisało nic takiego, coby było zapomnieniem o najkardynalniejszym z obowiązków,

Władysław Ludwik Anczyc † dnia 28 Lipca 1883 r.

jakie człowiek-pisarz ma względem powszechności, do której należy. Anczyc był pisarzem w znaczeniu, jakie pisarstwu Carlyle nadaje: chciał, aby z czarnych znaków na papierze wytwarzały się jasne czyny w życiu; pisanie jego nie było, ani dla wiedzy samej, ani dla sztuki, ale dla praktycznego celu: dla poprawienia tej rzeczywistości, która wyższym umysłom tyle trudów, prawym sercom tyle trosk przyczynia. Apostolstwo myślowe w żadnym innym z dzisiejszych pisarzów ludowych nie objawiło się tak silnie, jak w tym człowieku, który przez dwadzieścia lat umiał wytrwale iść obraną drogą, i gdyby nie osobiste warunki bytu, z ostatniem tchnieniem jeszcze złączyłby myśl o ukochanych braciach swoich zpod słomianej strzechy.

W historyi właściwej literatury—tej, w której króluje i samo piękno i rozumne tego piękna pojęcie, jaśnieje imię Anczyca, jako twórcy wspaniałego poematu *Tyrteusz*, a dobrego tłómacza utworów literatury niemieckiej. Nie będzie mu również zapomnianą i jego natchniona współczesnemi wypadkami liryka z lat pierwszej młodości, ani też, z tejsamej epoki, działalność satyryczna, zwrócona przeciwko pysze, próżności, ciemnocie i wstecznym doktrynom dobra społecznego. Nie można nazwać Anczyca umysłem wyższym; nie przyniósł on społeczeństwu ani własnego

swojego poglądu na świat, na człowieka i naród, ani własnej formy objawiania się, ani wreszcie oryginalnego stylu, piękny porządek myśli z bujnością wyobraźni łączącego. Jako umysł, stał zawsze na poziomie pojęć przeciętnych, ale z poziomu tego umiał rozszerzyć naokoło siebie działalność, jakiej mu niejedna intelligencya istotnie wyższa, niejeden talent wybitny zazdrościł. Posiadał Anczyc energią i potrzebę ciągłego obcowania z powszechnością swoją: ztąd powstała cała ta literatura nauczająca, częstokroć przygodna, starająca się żadnej sposobności nie pominąć a z każdej skorzystać. Najwybitniej okazało się to przy redagowaniu *Kmiotka* i *Przyjaciela dzieci*; zwłaszcza praca redaktorska około pierwszego z tych czasopism stawia Anczyca w rzędzie Dobrze Zasłużonych, a w mojem przekonaniu, zasługa jego jest tu tak wielką, że gdyby mnie spytano: jaki napis dać mu na nagrobku?—odpowiedziałbym: „Redaktorowi *Kmiotka*“.

Anczyc był synem aktora prowincyonalnego i urodził się podczas pobytu ojca w Wilnie, w r. 1824. Przy ciężkiem położeniu, obmyślono mu karyerę aptekarską; nauki potrzebne do tego zawodu ukończył młodzieniec przy wydziale medycznym w Krakowie, dokąd losy zagnały były rodzinę na stałe zamieszkanie. Ale Magister Farmacyi, nie czekając aż mu zaschnie atrament na patencie, jął temperować pióro. Rzeź galicyjska, wypadki krakowskie i poznańskie wydobyły mu z duszy kilka serdecznych akkordów, a w dziewiętnastu wydanych numerach *Dodatku do świstka* z r. 1848, ciemnota, nieuctwo i obłuda, ubierająca się w pozory dobra i nieomylności, stanęły pod pręgierzem, młodą dziarską dłonią wzniesionym. Nie znano autora: tem żywsze było zajęcie w czytelnikach, a gniew w obozie przeciwnym.

Gdy w roku następnym Chełchowski wystawił na teatrze sztukę oryginalną *Chłopi Arystokraci*, całą oddychającą miejscowemi stosunkami, jakie zaprowadziła reakcya w Krakowie, imię Anczyca nabrało odrazu rozgłosu: sztuka niezmiernie się podobała, dla swej prawdziwości, humoru i satyry, i oklaski hojnie wynagrodziły poczynającego dramaturga ludowego za honoraryum, którego mu Chełchowski odmówił, i tak już wielką wyświadczając łaskę, że sztukę na deski swoje wprowadził. *Mośkowa na barykadach*, *Młockarnia wiedeńska*, poprzedziły *Chłopów*, jako pierwsze próby pióra. Po *Chłopach arystokratach* w cztery lata dopiero ukazali się na scenie krakowskiej, a za nią i na innych, *Łobzowianie*, zbliżeni do poprzednich, nietylko sferą życia, architektoniką, ale i sposobem opracowania szczegółów; wystąpiły jednak w tej sztuce nowe typy, równie zajmujące i taksamo z dobrego wpatrzenia się w lud wyprowadzone, jak i w dawniejszej. W r. 1856 przybył do dwóch poprzednich *Błażek opętany*. Wszystko to były, krótkie utwory jedno-aktowe, w danych granicach talentu zamknięte. Po rzeczach mniejszych, które już zeszły z repertoaru, dopiero w r. 1876 konkurs krakowski pobudził Anczyca do napisania sztuki większej, skierowanej przeciwko wychodźtwu ludu wiejskiego do Ameryki. *Emigracya Chłopska* otrzymała na konkursie nagrodę, a mało sztuk dramatycznych u nas doznało tak wielkiego powodzenia na scenie, jak 5-cioaktowe dzieło Anczyca. Tworzenie większych sztuk było może zadaniem nad siły, wymagając wybitnego już rozumu artystycznego przy wysnuwaniu i nawijaniu nici wypadków dramatyzowanych: *Emigracya* nie jest też dziełem doskonałem, ale jako szereg obrazów, mających, na podobieństwo prawa kryminalnego, działać przez odstraszenie, słusznie utrzymuje się na wszystkich scenach, stałych i wędrownych, i wraz z dwiema najpierwszemi sztukami, przedstawiającemi lud krakowski, nieprędko z nich zejdzie. Darem Anczyca, właściwością jego, wszerz raczej, niż w głąb', w kierunku serca więcej niż w kierunku rozumu, wypromieniającej się duchowości—była zdolność owiewania poezyą tego, co łagodny bicz satyry jednocześnie chłostał. Obraz wieczerzy wigilijnej w *Emigracyi* jest nietylko rzewnym: jest prawdziwie pedagogicznym, a jako pomysł—wspaniałym.

Magister Farmacyi mógł już po przedstawieniu *Chłopów Arystokratów* utyskiwać na to, że go zgnębił pisarz; kiedy w r. 1859 Anczyc przybywał do Warszawy, musiał już znowu pisarz boleć nad tem, że z sił jego i mienia korzystać będzie człowiek pracujący na chleb literacki: bo po taki chleb tu przyjeżdżał. Pomyślnem bardzo dla niego zrządzeniem było to, że drugiego roku pobytu w Warszawie, będąc już sekretarzem Redakcyi *Tygodnika illustrowanego* i redaktorem *Kalendarza Ungra*, otrzymał od wydawcy *Kmiotka*, p. Michała Glücksberga, zaproszenie do objęcia redakcyi tego czasopisma po ustąpieniu J. K. Gregorowicza: Otworzyło się naraz przed Anczycem pole, na którem zdolności jego nie potrzebowały już iść na marne. Nie możemy tu wnikać w szczegóły działalności redaktorskiej nieboszczyka w *Kmiotku*: chcący ją poznać będzie musiał przejrzeć sześć roczników czasopisma z lat 1861—1866. Anczyc nie był prostym tylko reżysserem za sceną ukrytym, ale sam dokonywał wytwórstwa tych płodów umysłowych, które w piśmie swojem społeczeństwu podawał; *Kmiotek* był *jego* organem, organem jego pojęć i zasad, jego myśli nauczającej, jego miłości—która lud cały ogarniała, niosła mu oświatę i uzacnienie. Z *Kmiotka*-to Anczyc jako Góralczyk pierwszy raz do ludu przemówił. Mając poparcie władzy, czasopismo przez niego redagowane rozchodziło się w znacznej liczbie exemplarzy; opowiadań i nauk Kazimierza Góralczyka słuchano w najdalszych zakątkach. Nic nie zdoła lepiej zaświadczyć o wielkim wpływie ówczesnego redaktora na czytelników *Kmiotka* nad fakt następujący. Pewnego razu przyszła do księgarni wydawcy gromadka włościan, żądając widzenia się z p. Góralczykiem.

— Niéma takiego pana.

— A ten co pisze w *Kmiotku*! Niech nas panowie doprowadzą do niego: chcieliśmy mu podziękować i uraczyć go za wszystko poczciwe, czem nas darzy.

I doprowadzeni do Anczyca, dali mu chwilę — może najprzyjemniejszą w życiu.

Przez dwa lata od 1865—1867 prowadził Anczyc *Przyjaciela dzieci*:—i za jego redakcyi pismo to było wzorowem. Był także w tym czasie redaktorem *Wędrowca* i umiał go ożywić i zapewnić mu poczytność. Zawiązująca się w r. 1865 Redakcya *Bluszczu*, ujrzała go w gronie swych członków; artystycznym przekładem *Drahomiry* Weilena zaznaczył on swe współpracownictwo w tem piśmie. W redakcyach ceniono nadewszystko jego łatwość pióra i myśl obywatelską, której przez całe życie z synowską miłością służył. W okresie warszawskim, oprócz *Kmiotka*, najwybitniejszemi jego pracami dla ludu były: *Nauka o ziemi i świecie*, wydana przez grono ludzi przedłużających byt Towarzystwa Rolniczego (1862), *Książeczka dla wiejskich dziatek, które już elementarz skończyły* (1862), *Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazach* (1863), *Pijaństwo — zguba i nędza włościan* (1867). Z książek dla dzieci i młodzieży wszelkich stanów zaznaczamy wydane w tymsamym okresie: *Księgę najpamiętniejszych odkryć geograficznych* (1865); oraz wybornie przyswojone w samodzielnem opracowaniu *Przypadki Robinsona Kruzoe* (1868). Podczas pobytu w Warszawie, redagował Anczyc *Kalendarz humorystyczny*, z tym prawdziwym humorem, który później w Krakowie czynił go jednym z najbardziej cenionych współpracowników *Dyabła*.

Praca dla chleba kazała być Anczycowi nawet librecistą: *Duch wojewody*, *Dziesięć cór na wydaniu*, mają libretta jego roboty.

W r. 1869 powrócił Anczyc do Krakowa, który był dla niego jakby miastem rodzinnem. Tegosamego roku odezwał się dwukrotnie do ludu, zpowodu znalezienia zwłok Kazimierza Wielkiego. W roku następnym do „Wydawnictwa dzieł tanich“ dał *Historyą polską* w pytaniach i odpowiedziach, przystosowaną później dla użytku młodzieży szkolnej. Przez następne lata dla wydawców warszawskich, głównie dla pp. Gebethnera i Wolffa, przygotowywał, bądź przekłady i opracowania z autorów zagranicznych, bądź nowe wydania dawniejszych swych książek — wszystko w zakresie literatury pedagogicznej. Oryginalnym, z doskonałą plastycznością myśli i słowa, napisanym jest *Sennik* (1875),—prawdziwe wzbogacenie literatury ludowej.

Troska o chleb powszedni, ta straszna wiedźma dla ludzi pracujących u nas umysłowo, nie przestawała go ścigać; dla polepszenia bytu licznej rodziny, wziął się do księgarstwa, a gdy to nie poszło, około r. 1876 założył, wspólnie z firmą gebetnerowską, drukarnią, która się dobrze rozwinęła i dziś w kwitnącym znajduje się stanie. Druki z niej wychodzące odznaczają się pod względem czystotechnicznym starannością, z jaką w Polsce tylko drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego współzawodniczyć może; chromają tylko we względzie korrekty: ale taki to już los druków polskich!—błędy w wydawnictwach Akademii weszły już w przysłowie.

Cele zarobkowe nie mogły sprzyjać działalności literackiej w ostatnich latach życia; ale jej całkiem stłumić nie zdołały. Dwa lata temu spróbował sił swoich autor *Chłopów* na poważnym historycznym utworze, przeznaczając go, już nie dla poprawy moralnej, ale dla podniesienia skali uczuć w najrozleglejszych warstwach narodu. Niesłychane powodzenie tej sztuki dowodzi osiągnięcia zamierzonego celu. Na tegorocznym konkursie krakowskim dla uczczenia pamięci Sobieskiego *Jan III pod Wiedniem* Anczyca otrzymał *accessit*.

Od lat trzech zdrowie Anczyca zaczęło szybko upadać; na rok przed skonem, przewidywano już nieszczęście dla rodziny, a powód do szczerego żalu dla wszystkich, którzy znali i cenili obywatelsko-piśmienniczą działalność Kazimierza Góralczyka. Po długich a bardzo dolegliwych cierpieniach, śmierć przywlokła się nareszcie dnia 28 Lipca i zabrała go zpośród żyjących. Zwłoki spoczęły na cmentarzu krakowskim.

Dla wszystkich osobistych znajomych, którzy mieli sposobność wymieniać częściej ze ś. p. Anczycem myśli i uczucia, dla wszystkich, którzy zostawali z nim w bliższych stosunkach zawodowych, dla przyjaciół i życzliwych, których liczne grono naokoło siebie zgromadzić umiał—zostawia nieboszczyk po sobie wspomnienie człowieka prawego, kochającego szczerze to, co z rzeczy ziemskich dla nas, rozbitków-dorobkowiczów, jest najbardziej ukochania godnem; wspomnienie najmilszego towarzysza—natury jasnej, pogodnej, nigdy niewątpiącej i niestrudzonej w przedsięwzięciach i pracach; wspomnienie człowieka niewzbijającego się talentem, ale stale używającego pióra swego na pożytek społeczeństwa, niemarzącego nigdy o wielkości własnej, nienadymającego się wziętością, nieupajającego chwilowem powodzeniem,—pracownika cichego, ale niekryjącego się trwożliwie ze swą pracą,—pisarza wreszcie, po którym zostanie pamięć w literaturze — wtedy, kiedy dla tylu zpomiędzy nas, więcej hałasu robiących, nazajutrz już po śmierci nikt nie znajdzie słowa, któreby samo z piersi się wyrwało.

Zamiast wieńca, posyłamy na grób kilka tych słów uznaniem i życzliwością natchnionych.

Stanisław Krzemiński.

POLKA I AMERYKANKA

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

Na wzgórzu, zpoza krzaków bzu, ciemnych świerków i smukłych modrzewi, wychylały się białe ściany okazałego dworu, otoczonego dokoła szeroką werendą. Północna strona wzgórza staczała się falisto ku Wiśle, wijącej się szparko i kręto wśród łąk i nadbrzeżnych piasków. Od południa i zachodu zamykały widnokrąg ciemne, niebieskawą mgłą okryte góry; zato od wschodu czerwone dachy Krakowa rozweselały krajobraz.

Majowe słońce, rzucając złote snopy promieni na wilgotną ziemię, rozbijało białe mgły, odkrywając niebieskie wody rzeki i świeżą, błyszczącą kroplami rosy, zieloność łąk.

Chłodny wietrzyk podnosił się ze wschodu, nio-

sąc ze sobą zapach lasów sosnowych, poruszał liśćmi bzów i kasztanów, sprawiając przyjemny dla ucha szelest. Świegot ptasząt, ryk bydła, plusk wioseł flisaków—zmieszane z wesołemi śpiewami dziewcząt na wygonach i dzieci wypędzających trzody na błonia—tworzyły pewną harmonią, raczej hymn powitania wiosny.

Otworzyły się szklane drzwi dworu. Na progu ukazał się pięćdziesięcioletni, przystojny jeszcze mężczyzna, uśmiechnięty, zdawało się, rozmarzony; wszedł na werendę, wsparł się o drewnianą balustradę i, wciągając całemi piersiami świeże majowego ranku powietrze, patrzał, z pewnym rodzajem zachwytu, na majaczący w mgłach Kopiec Kościuszki i czerwone wieżyce Zamku Krakowskiego. Widocznie lubował się po tysiąc razy oglądanemi widokami, kochał je i tęskniłby za niemi, gdyby je kiedy z oczu stracił. Widać to było po melancholicznie patrzących oczach i sentymentalnym uśmiechu.

Obszedł wokoło werendę z jednakowem upojeniem zachwytu. Na pochyłości gruntów staczających się ku Wiśle porachował fornalki przykrywające bronami zasiew, przez szkła popatrzał na pracujących ludzi w polu; zeszedł do ogrodu, oglądając pilnie klomby. Dywan liściasty, rozłożony na trawniku przed dworem, musiał się udać ogrodnikowi lub może samemu panu. Zdawało się, że dumnym był ze swego dzieła. Podejmował laseczką liście zbyt przybite do ziemi i otrzepywał je ze zbytniej rosy. Odsunął się o parę kroków, aby jednym rzutem oka objąć całość i przekonać się o jej artystycznym układzie.

W tym czasie na werendzie zastawiano śniadanie. Samowar wyrzucał kłęby pary, stół przykryła służba serwetą; ustawiono filiżanki. W białym szlafroczku wybiegła z pokoju jasna, dwudziestoletnia, z ciemnemi rzęsami blondynka. Za chwilę rozszedł się zapach kawy. Dzieweczka wychyliła się z werendy i, zobaczywszy ojca, zbiegła do niego, składając dwa serdeczne pocałunki na jego policzkach.

— Tak rano?—pytała ze zdziwioną minką.

— Nie szkodaż, moje dziecię, przespać tak pięknego ranka?—odparł ojciec, całując ją w czoło.

— I dlatego obudzono mnie, kazano wstawać, ubrać się prędko, bo pan ojciec nudzi się i tęskni, nie za córką, lecz za gorącą kawą.... A jakie miałam przepyszne sny!

— Słucham.

— Śniły mi się cudowne rzeczy; lecz sny panieńskie—są to wielkie tajemnice dla mężczyzn.

— Nawet dla ojca?

— Jako mężczyzny — powiedziała z figlarnym uśmiechem, wsuwając rękę pod jego ramię, aby go prowadzić do śniadania.

Przy zastawionym stole czekała pani domu, matka panny Jadwigi, żona pana Edwarda, pani Balbina—Balcią przez rodzinę męża, a również i przyjaciółki, nazwana.

Balcia przedstawiała się imponująco: wysoka, może trochę za szczupła, lecz zato figurę miała na swój wiek zgrabną; była białą, o niebieskich oczach, blondynką—usta małe i wązkie, zaciśnięte, z których nieokreślony grymas wyglądał. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że ma usposobienie do westchnień i cichych skarg. Tymrazem nie wzdychała i nie skarżyła się. Ubrana w białym szlafroczku, podobnie jak córka, rozlewała kawę.

— Jakież na dziś projekta?— rzekł wesoło pan Edward, siadając przed filiżanką wybornej kawy, po której w obfitości kożuszki ze śmietanki pływały.

— Rada-bym, chciała-bym, jeżeli można — dodała ciszej—jechać z Jadzią do Krakowa. Zobaczę Gucia—koncert w Strzeleckim Ogrodzie, sprawunki, parę wizyt.

— I wielka narada u Szwarca nad wiosennemi toaletami—dodała wesoło p. Jadwiga.

— Miałyżbyście serce zostawić mnie samego, jak pustelnika?

— Siewy nieskończone—odezwała się p. Balbina cicho, lecz wyraźnie i zimno.

— Chcecie mnie widać zrobić niewolnikiem paru korcy kartofli i paru garści jęczmienia i wyki? Jak-by sobie bezemnie nie dano rady!

— Siew — mówią gospodarze — ma być najważniejszą czynnością.

Jadwiga wyszła z pokoju.

— Mówią?—czego ludzie nie mówią?

— Towarzystwa trzy raty niezapłacone; wiesz, że są i długi—dodała pofrancuzku, zpowodu obecności służącego.

— A więc, jak będę patrzał na każdy pokrajany ziemniak, gdy go kładą w ziemię, albo na ręce chłopa, jak rozrzuca po polu wykę: to tym sposobem zapłacę towarzystwo? Moja droga, przyznaj, że to troszkę zabawne.

— Raczej nieszczęśliwe — odparła, ciężko westchnąwszy p. Balbina. — I to bardzo nieszczęśliwe, gdy pomyślę o naszych dzieciach, o ich przyszłości..

— Z jednego wyjazdu do Krakowa wysnuwasz zaraz cały dramat. Jeżeli ja źle gospodaruję, lub nie umiem gospodarować, to dlaczegóż ty sama nie weźmiesz wszystkiego w swe energiczne ręce? Ja ci z rozkoszą ustąpię miejsca. Umiesz wybornie krytykować: bierz, rób, pracuj, dźwigaj majątek. Płać raty, siej, sadź kartofle.—Pan Edward widocznie był zirrytowany.

— Wszystko ja—pochwyciła Balcia—ja—słaba, zmęczona życiem, zawodami i pracą!

— I pracą?—spytał ciekawie p. Edward.

— I pracą—powtórzyła z naciskiem—pracą na swojem stanowisku i w swoim zakresie. Dotąd miałeś ze mnie szafarkę i kucharkę, a dziś chcesz abym została ekonomem i karbowym.

— Ależ nigdy kucharką nie byłaś !— a o tem szafarstwie dużo ciekawych rzeczy mówią w sąsiedztwie.

— Zawsze mniej, niż o twem gospodarstwie— odparła p. Balbina ze złośliwym uśmiechem.

Powróciła Jadzia.

— Mała chmurka na horyzoncie małżeńskim rozpędzona ciepłemi promieniami majowego słońca. Nieprawdaż? Nareszcie tatuś jedzie! Ach, jakbym rada, aby pojechał.... Zaczęła matce szeptać do ucha, rumieniąc się lekko.

— Tajemnice—pochwycił p. Edward wesoło.

— Kiedy już tak chcesz, to jedź z nami, Edziu, zawyrokowała słodka Balcia, i co szczególna, nie westchnęła w tem miejscu.

— Ależ to wy chcecie! I nie pojadę, póki stanowczo się nie dowiem: dlaczego tak nagle Balcia zmieniła opinią?

Zarumieniona dziewczyna wyjęła z kieszeni tylkoco odebrany list z poczty, podając go ojcu.

Pan Edward czytał go i uśmiechał się często.

— Nareszcie pojmuję: dlaczego jestem w Krakowie niezbędny.

— O godzinie drugiej zasiadamy do obiadu— szczebiotała mała Jadzia — powóz zajedzie i po półtorej godzinie przyjemnej jazdy jesteśmy w naszym kochanym Krakówku.

— A teraz do pracy — zadecydował z powagą p. Edward.

Pani Balbina uśmiechnęła się nieznacznie i niepostrzeżenie.

— Cóż robicie?—zwrócił się do kobiet.

— Ja, ojczulku, towarzyszę ci w twych trudach i mozołach.

— A ty, Balciu?—rzekł Edward.

Balcia nie raczyła odpowiedzieć, przymrużyła oczy, nasunęła lekko brwi i milczała.

— Nie odpowiadasz?

— Idę sąsiadom naszym przysparzać materyału do wesołych rozmów.

— Idziesz zatem do twego domowego gospodarstwa.... Do widzenia!—Skłonił się z wyszukaną grzecznością.

— Zaczekaj ojczulku, przyniosę ci kapelusz, laskę i sama się zasłonię przed ciekawością słońca. Tęskniemy za niem, gdy go niema, a gdy przyjdzie, kryjemy się przed jego promieniami.

— Takie to życie ludzkie!—rzekł poważnie pan Edward. Co miał oznaczać ten frazes?—zostanie to jego tajemnicą.

Gdy pani Balbina oddawała się z heroizmem swym zajęciom, prowadząc długą naradę z szafarką, p. Edward, podawszy ramię córce, szedł z nią falistą pochyłością ku Wiśle, aby rzucić okiem na sadzenie ziemniaków, siew wyki i fornalki przykrywające ziarno bronami.

— Nie pojmuję: czego Balcia chce odemnie, moje dziecko? Może tego, abym sam siał, orał i włóczył?

— Ależ nie, tatusiu; tylko mama, z wielkiej miłości do nas, marzy, aby każde z nas było przynajmniej tak bogatem, jak wy jesteście. Mama życzy sobie, abyśmy, ja i Gucio, mieli po całem Żurawnie.

— Żurawno warte sto ośmdziesiąt tysięcy, przypuszczam sto sześćdziesiąt, towarzystwa czterdzieści, i to niecałe. A więc dla ciebie i Gucia wypada po pięćdziesiąt, dla nas na stare lata wystarczy dwadzieścia. Ależ ty, mając pięćdziesiąt tysięcy posagu i doliczywszy do tego twoją piękność, dystynkcyą, dowcip, dobre urodzenie i nareszcie rozum—powinnaś, bo masz prawo, wyjść za mąż za człowieka mającego dwakroć sto tysięcy: będziesz więc od nas bogatszą. Tosamo Gucio.

Jadzia zarumieniła się lekko i, spuszczając główkę, aby nie pokazać rumieńca—szepnęła.

— Ale czy będę szczęśliwą?

Pan Edward przystanął i patrząc w oczy córki—rzekł z uśmiechem:

— Sentymentalizm wobec ojca, powiedz sama, czy to nie wygląda komicznie?

I dlatego, że masz prawo i obowiązek iść za mąż, chcesz odgrywać rolę nieszczęśliwej!

— Nie, nie—przerwała głośno—tylko—dodała ciszej—nie zawsze idzie w parze szczęście z majątkiem.

— Frazes wyczytany w książce. Że też, moja Jadziu, nie możesz raz wyjść z roli pensyonarki! Nie chcesz iść za mąż, jak na to zasługujesz, to idź za Władysława: chłopiec ładny, zgrabny, wesoły, wykształcony, ma wcale niezłą dzierżawkę i mówią, że kocha się w tobie szalenie. Gdy dołożysz do jego fortunki pięćdziesiąt tysięcy, możecie sobie nawet wioskę kupić i dorabiać się na starość.

Jadzia milczała.

— A widzisz—zawołał ojciec z tryumfem—złapałaś się! I po cóż te sentymentalne apostrofy? Majątek nie idzie ze szczęściem w parze, to prawda, ale szczęście bez majątku obejść się nie może. Wiesz o tem wybornie. Lubisz dobre papu, chcesz ubierać się wytwornie, mieć ładny ekwipaż, cichą i zręczną służbę, wygodnie urządzone mieszkanie, wykwintne towarzystwo, przejażdżki po Europie i—i... „Dosyć chatki pustelnika“. Dyabelnie tam musiało być pusto i nudno, głodno i zimno. Lepszy już dworek Władzia, przyznaj sama, a jednakże...

— Ojcze, zlituj się, pastwisz się nad córką za jedno luźne wyrażenie—rzekła, siląc się na tragiczność, dziewczynka.—Mścić się lubisz i umiesz.

— Bo czas, aby kobiety raz już przecie pozbyły się sentymentalizmu, który urąga prawdziwemu uczuciu i roztropnej myśli o przyszłości, a więc odejmuje nam zdolność do spełniania naszych zadań względem siebie i kraju.

— Tatuś mówi jakby na mównicy w sejmie— i szkoda, że go tylko słyszy wykłoszone żyto i sentymentalna córka.

Pan Edward się rozśmiał.

— Już mi zbrzydły te nudne czasy czułych westchnień wobec naglących potrzeb, tak względem siebie jak i społeczeństwa. Nawoływania do pracy bez środków także są czczą gadaniną. Trzeba się starać o środki i te zdobyć najpierwej.

— Mama w tej chwili zalałaby się łzami radości i uwielbienia dla swego ukochanego Edzia.

—Matka—przepraszam cię, że mówię to w twej obecności, jest nieco dziwną ze swemi żalami na lenistwo. Przypuszczam, że gdybym chodził cały dzień po piętach moim officyalistom, karbowym, fornalom, zyskałbym czyli dorobiłbym więcej o pięćset złotych. Czy to warto? Dotego zordynarnieję, zdziczeję, zmęczę się i stargam siły.

— Drogi ojcze! nie chodź po piętach twym officyalistom i nie dziczej: błagam cię o to. To, co mamy, wystarczy nam.

— Wytłómacz to matce! Najlepsza kobieta pod słońcem, lecz niepraktyczniejszej nie widziałem. To jej gospodarstwo domowe, z któregoby można mieć najmniej półtora tysiąca czystego.... Nie mówmy o tem! Nie urodziliśmy się łapigroszami i rzecz skończona—prawda?

— Prawda, prawda—zawołała dziewczynka.— Gdy idzie o społeczeństwo i kraj, to mój tatuś aż nadto ma rozumu i wymowy i niemi może służyć ojczyźnie.

— Podział pracy: wielka ekonomiczna zasada

dźwigająca narody. Kapitaliści niech dają kapitał, rozumni rozum, mówcy wymowę.

— Tatuś naraz daje dwie rzeczy, bo rozum i wymowę.

Tatuś spoważniał, zamyślił się, lecz nie protestował, wierząc w prawdę słów córki.

Zbliżyli się do ludzi sadzących ziemniaki. Nadbiegł ekonom, zdjął czapkę, wyprostował się....

— Panie Hartkiewicz, zdaje mi się, że może zbyt rzadko sadzą—odezwał się nieśmiało p. Edward, jak człowiek który nie jest pewnym swego.

— Rzadko?— powtórzył zafrasowany Hartkiewicz.

— Rzadko—potwierdził dobitniej swe spostrzeżenie dziedzic.

— Prawda, rzadko, ale to też, proszę wielmożnego pana, ziemniaków zabrakło do sadzenia, a roli gotowiuteńkiej pod nie jest do zbytku.

— Gdzie się u Pana Boga podziały?

— A trzoda, krowy, ludzie.... Tylko kto nie chciał ten nie brał. Kopiec po kopcu zwożono do piwnicy—i poszło.

— Dlaczegóżeś nie pilnował?

— To już nie moja rzecz, proszę wielmożnego pana — odparł z filuternym uśmiechem.—Chociaż powiem prawdę, że ziemia sprawiona jak się patrzy, znawożona jak nie pamiętam,—to niech się tylko chcą urodzić, to ich wyzbierać nie będzie można.

— Pamiętam-ci dobrze, przed sześciu laty— odezwała się jedna ze starszych kobiet sadziliśmy je rzadziusio, jak dziś, a może i rzadziej, a jak ci się zrodziły: okropa! Pod każdziutkim krzakiem było ich z pięćdziesiąt. Człek kopał i kopał i zagona bez dzień skopać nie mógł.

— A teraz będą?—spytał żartobliwie rozpogodzony p. Edward.

— Chybaby Boga w niebie nie było, wielmożny panie—odparł ekonom.

— Będą-ci, będą za wolą Najświętszej Panienki—mówiły kobiety. Byle ino doczekać.

— Spieszcie się, a za to wieczorem dostaniecie wódki—zachęcał dziedzic.

— Dziękujemy panoszkowi — zawołały wesoło kobiety.—Ekonom się skłonił; p. Edward z córką, po pracy, wracał odpocząć do dworu.

— No, samaś się przekonała, moja Jadziu, o gospodarstwie matki. Tysiąc dwieście korcy ziemniaków zjedzonych przez zimę i jaka ztąd korzyść? Gdzież są rezultaty, gdzie dochody—gotówka? Gdybym je sprzedał na jesieni, miałbym dwa tysiące w kieszeni.

— Mama jest zdania — odezwała się nieśmiało Jadzia — że kartofle były niezbędne, na.... na.... Sama nie wiem na co, ale były niezbędne.

— Wyborna jest Balcia ze swoją niezbędnością! Wszystko jest dla niej niezbędne, dopóki nie roztrwoni, dopóki nie rozbiorą ludzie.

— A więc dajmy pokój niezbędności ziemniaków na tym świecie i nareszcie wkroczmy w lepszą dziedzinę spraw ludzkich.

— Wkraczajmy—rzekł wesoło p. Edward.

— Powiedziałabym tatusiowi jednę bardzo ważną rzecz; tylko, niestety, nie mam odwagi.

— Kiedyż ją zdobędziesz?

— Może nigdy.

— Nie wierzę ci. Jeżeli nie masz odwagi powiedzieć, napisz, gdy wrócimy do domu.

— Nie lubię pisać.

— Wyśpiewaj.

— Żartujesz, ojczulku, a to sprawa wielkiej wagi.

— Niedostępna dla ojca, którego podobno kochasz. I doczekałem się—zaczął patetycznie—że własna córka....

— Powiem już powiem, tylko nie patrz na mnie.

— Rzucam rozczulony wzrok na Kraków.

— Wiesz: dlaczego jedziemy?

— Wiem.

— I odważysz się wypowiedzieć głośno.

— Odważę. — Jedziecie, bo wam Gucio napisał, że jest w Krakowie mój znajomy od lat dwudziestu, officer—dziś....

— Nie kończ, tatusiu.

— Nie? a więc milczę.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DUCH KWIATU.

Woń fiołków, najmilszych Szopenowi kwiatów, odegrała w jego życiu cudowną rolę jakgdyby tajemniczego ducha, może jego ojczystej przyrody, który w wyrocznej chwili życia wielkiego muzyka zjawił się obok niego, dając mu niby znać, że zbliża się coś, przed czem strzedz mu się należy.

Było to w końcu Października r. 1838, w Paryżu; wkrótce po stanowczem już rozstaniu się z Maryą W., po jej wyjściu za mąż, Szopen został zaproszony na zebranie wieczorne w gościnne progi bardzo jemu i Polakom przychylnego domu francuzkiej rodziny hrabiego Collin-Maillard. Ród był pański, w najlepszem znaczeniu tego wyrazu arystokratyczny, przyciągający do salonów swoich wszystko, co w świecie sztuki i literatury wyniosło się ponad pospolitość, i Szopen, choć pod względem stosunków towarzyskich wielce wybredny, lubił tu bywać, gdzie zawsze znajdował kilku ziomków i przyjaciół swoich, a przytem bardzo sobie życzliwego i bardzo też miłego mu Liszta, wreszcie Meyerbeera, którego muzykę wysoko stawiał i słuchał jej z rozkoszą. Sam przecież bardzo rzadko dawał się tu słyszeć, bo popisów wśród licznego tłumu ludzi nie lubił, miał do nich nawet wstręt nieprzeparty i trzeba było, aby uległ jakiemuś silnemu wzruszeniu, aby coś porwało go i pociągnęło do fortepianu, pod który Liszt wtedy wchodził, pedały zastępując, a on dopiero zapominając o otoczeniu, z okiem wpatrzonem w przestrzeń, w dal tajemniczą, puszczał wodze fantazyi, a raczej uczuciu swojemu, i grał, grał najczęściej, improwizując te melodye swoje przecudne, pełne smutku, tęsknoty, pełne niewypowiedzianych żalów jego ducha, których słuchając, kobiety zalewały się łzami, mężczyźni najtwardszego usposobienia schylali czoła, a Polakom dusza, muzyką tą zaklęta, wychodziła z piersi i uciekała daleko poza mury Paryża. Ale zdarzało się to bardzo rzadko, i nawet zazwyczaj Szopen, który zgromadzeń tłumnych nie lubił i lękał się nagabywań mniej delikatnych lubowników muzyki, na stronie w pobocznych salonach się trzymał. Krył prawie swoję delikatną, a zawsze elegancką, postać, bo to już było jego słabością, że pod względem ubrania, pod względem wszystkiego, co miał na sobie, z czem się stykał, był niezmiernie wykwintny i żaden margrabia francuzki nie przedstawił się wytworniej od tego wielkiego artysty, wielkiego mistrza, w batystowych żabotach, z płcią alabastrowo białą, przejrzyście bladą, z lekkim ledwo puszkiem zarostu na szczupłej, pociągłej twarzy, z miękkim, jasnym włosem, zaczesanym starannie i dużem, wypukłem okiem niebieskiem, które patrzyło łagodnie zpod szlachetnie zarysowanej arkady powiek, rozbłyskując gorąco dopiero wśród extazy natchnienia. Była to w tej artystycznej naturze pewna strona idealności, że znieść nie mógł żadnej rzeczy grubej, brzydkiej, zniszczonej, i wzrok Szopena był pod względem kształtów i barw tak czułym, jak ucho było wrażliwem na dźwięki. Ztąd też nawet te przedmioty, które w dziedzinie artystycznego piękna miejsca dla siebie mieć nie mogą, musiały przynajmniej, gdy się z niemi stykał, być ładne—ładne i eleganckie, bo inaczej znosić ich nie mógł.

I w ten wyroczny dla niego wieczór październikowy był on cały podobnie ładny i elegancki od stóp do głowy, gdy w bocznym saloniku zapełnionego gośćmi apartamentu hr. Collin Maillard wsunął się poza klomb kwitnących azalei i usiadł cicho na małej kanapce bambusowej. W wielkim salonie śpiewała Malibran: tam też tłoczyli się wszyscy, drzwi nawet były oblężone przez słuchaczy i tylko on jeden, którego muzyka, śpiew szczególniej elektryzował zawsze, nie ruszył się z miejsca i więcej dumał, niż słuchał.

Bo dnia tego był on od samego poranku w szczególnem usposobieniu. Obudzał się z uczuciem dziwnem niepokoju i trwogi niczem nieusprawiedliwionej. Wciąż czekał na coś i lękał się czegoś—czegoś nieznanego, lecz przerażającego jak nieszczęście. I nawet grać nie mógł, bo tony wydobywane z fortepianu odzywały się jękiem; że zaś deszcz padał nieustannie, nikt nie przyszedł, aby go odwiedzić, on zaś sam, już kaszlący, wyjść nie chciał. Nie był to przecież żal miłosny po Maryi W. Już jej—jej osobiście, nie kochał, był tylko smutny po stracie swego ideału, swego ubóstwienia i tego żałował: uczuć zmarnowanych, zawodu doznanego, a nie kobiety mało wiernej sercu własnemu i lekko rozrzucającej po drodze życia skarby uczuć najdroższych. Przyznał to Szopen wyraźnie przed Wojciechem Grzymałą w *Kilku szkicach z rzeczywistości życia*, spisanych przez *Aër*, przyznanie to jest zamieszczone, jak również i szczegóły inne z tej chwili czasu, które znajdziemy poniżej. Nie z przeszłości biła na niego gorycz wspomnień, ale z przyszłości występował jakiś obłok ciemny, niosący przeczucia, do których dołączyła się jeszcze rzecz, możnaby powiedzieć natury fizycznej, a przecież niewytłómaczona, dziwna! Kiedy, chcąc uciec przed tłoczącym go ciężarem smutku, wybrał się do pałacu Collin Maillard, we fiakrze, do którego wsiadł przypadkowo, zaleciał go nagle zapach fiołków, a choć woń ta była mu zawsze bardzo miłą, teraz wydała mu się niezmiernie duszącą i do zniesienia trudną. Zrazu myślał, że fiakr był tak szczególniej wonnościami zlany, ale nie, i zapach tu trwał, choć z powozu wysiadł — trwał, szedł za nim, ścigał go na piękne, szerokie, wspaniale oświecone wschody, gdzie przecież fiołków nie było. Nie pojmując, co się z nim dzieje, już się chciał do domu wrócić, gdyby nie znajomy mu kamerdyner hrabiego, który z otwartych drzwi przedpokoju wyjrzał i przywitał go. Trzeba było iść dalej, a woń niepojęta, wzmagająca się za każdym krokiem, towarzyszyła mu nieodstępnie, on zaś, uciekając przed nią pośpieszył przez uczucie sprzeciwieństwa pomiędzy kwiaty bezwonne, których zwykle nie lubił, które odtrącał od siebie, zwiąc je kłamstwem przyrody, i we wszystkiem fantastyczny mistyk mówił, że kamelie, azalee i tym podobne kwiaty bez zapachu, czynią mu wrażenie jakgdyby zaklętych kokietek, istot pięknych a zimnych, które wabią, przysięgają — i zawodzą. Teraz przecież uciekł pomiędzy nie, i—rzecz dziwna — niewytłómaczony zapach ustąpił natychmiast.

Uspokojony i z rozkoszą słuchający pięknego śpiewu, choć zdaleka, odpoczywał po wrażeniu niemiłem, lecz niedługo pozostał samotnym. Spostrzeżono go wkrótce; przysiadł się do niego Grzymała, któremu przyznał się do smutnych przeczuć i zjawiska niewidzialnych fijołków; rozmawiano o kraju, o znajomych, o Maryi W., gdy naraz w wielkim salonie odezwał się fortepian. Grał Meyerbeer; Szopena wybiło to zaraz z jego kwiecistej twierdzy, poszedł za Grzymałą do salonu, stanął za krzesłem Meyerbeera i słuchał— słuchał, aż zapał począł go ogarniać i skoro twórca *Roberta Dyabła* wstał, on usiadł na jego miejsce, a gdy ręce do klawiszy przyłożył, gdy białe, długie, cienkie swe palce po nich puścił, otworzyła się przed nim nagle kraina melodyi, otoczył go świat tonów. Wszystko, co w sercu nosił: trwogi bóle, tęsknoty tłumione, znalazły teraz głos i przerzedzona już teraz, do połowy zmniejszona gromadka gości skupiła się koło niego. Lękano się ruszyć, nie śmiano odetchnąć, aby nie spłoszyć natchnienia, pod którego potęgą grający mistrz stawał się coraz, coraz bledszym, jakgdyby wszystka krwew zbiegała mu się do serca, i tylko oczy błyszczały, promieniły jak gwiazdy, rzucały snopy światła, które snać posiadało moc magnetyczną, bo zpomiędzy ścieśnionego tłumu mężczyzn, zalegających przejście do sąsiedniego gabinetu, wystąpiła naprzód kobieta. Wszystkie inne siedziały na krzesłach wiankiem półkólistym; tylko ona jedna wyszła z przeciwnej strony, wystąpiła zpomiędzy szeregu czarnych fraków i stanęła naprzeciw mistrza, topiąc w nim ogniste spojrzenie. Już przeszło trzydziestoletnia, śniadoblada, silna, pełna, zapełna nawet dla szlachetniej pojmowanego, delikatniejszego piękna kształtów niewieścich, z wijącym się włosem czarnym, z czarnemi wielkiemi oczyma, z ustami jak krew czerwonemi, stanęła i wpatrzyła się w grającego,

który uczuł wzrok ten na sobie i ręka na klawiszach drgnęła, po bladej twarzy przeszedł płomień rumieńca.

Była to Amantyna-Lucylla-Aurora Dudevant— była to Sand, której Szopen nie znał dotąd i którego ona zobaczyła po raz pierwszy i, jak wąż obierający sobie na pożarcie ptaszki biedne, puściła na niego elektryczny prąd swego namiętnego spojrzenia, burząc zuchwale natchniony nastrój jego ducha. Nieujrzana jeszcze, lecz przeczuwana dopiero — dopiero cień osoby swojej na niego rzucająca, ściągnęła go natychmiast z nieba na ziemię. Uczucie rzeczywistości wróciło mu szybko, wróciła z niem nagła, przeszywająca boleśnie trwoga, która teraz znalazła swój przedmiot. Wyrwany z siódmego nieba, zląkł się tej postaci jakiejś, o której wiedział, że przed nim stoi, lecz na którą lękał się podnieść oczy, spojrzéć — zobaczyć ją: kto to jest?

I znowu uderzyła na niego woń fiołków, uderzyła nagle, niespodziewanie, jeszcze przenikliwsza, silniejsza niż pierwej. „Wdzierała się w pierś, w duszę“... jak mówił potem i przestał grać, ręce spoczęły na klawiszach, oczy trzymał spuszczone. Nerwy, naprężone przed chwilą jak struny harfy eolskiej, teraz drżały tylko.

A wkoło panowała cisza. Jak tu dziękować takiemu mistrzowi! Przed chwilą, gdy Meyerbeer przestał grać, klaskano szalenie, jemu składano hołd milczenia, wśród którego nie śmiał się odezwać głos żaden.

Przerwała je Sand. — „Mistrzów należy czcić przez ich ziemię ojczystą“ — ozwała się dźwięcznym, pełnym głosem i przystępując do fortepianu a zarazem wyciągając rękę do Szopena, zawołała: „Vive la Pologne!...“

Tłum pochwycił rzucone mu słowa i powtórzył je. Teraz zaczęto się cisnąć i z zapałem wyrażać uwielbienie swoje wielkiemu artyście, który przecież wśród zamieszania, jakie to sprawiło, uciekł. Wymknął się zpod ręki Lisztowi, który znając właściwości tej delikatnej natury, może zamaskował ucieczkę biedaka, którego odurzały oklaski, okrzyki, a woń fiołków dusiła. Uszedł do drugiego pokoju, dawnej swej kryjówki poza kwiatami, wzburzony, z wypiekami gorącemi na twarzy. Wzrok kobiety parzył go; gdy się spotkał raz pierwszy z jej spojrzeniem, doznał fizycznego bólu, jakgdyby od płomienia. Czuł przed nią trwogę, czuł do niej wstręt. Jeszcze nic nie wiedział: kto to jest ta kobieta z palącemi oczyma; że przecież wśród wszystkich innych, balowo, jasno ustrojonych, z odkrytemi ramionami, z kwiatami we włosach, ona jedna miała ciemnopurpurową suknię wełnianą, odcienia zwanego „sang de boeuf“, a rodzaj greckiej tiuniki, przerzuconej przez lewe ramię osłaniał ją aż po szyję,—wydała mu się jakimś ożywionym posągiem, który zeszedł z piedestału, aby go ścigać. I czuł rzeczywistą trwogę—zdawało mu się, że to jest geniusz jego przeznaczenia, że to jest z płomiennemi oczyma nieszczęście!..

Mówił to ludziom, zanim okrutna rzeczywistość sprowadziła przeczucie. Żyją jeszcze ci, którzy słyszeli to z ust Szopena, a ten gdy się dowiedział, że kobieta w czerwonej sukni to Sand, uczuł wstręt jeszcze żywszy. Wszystko w niej raziło go i odpychało od niej: przeszłość i teraźniejszość jej życia, i jej pisma a głównie przedzierzganie się kobiety w mężczyznę. Ideał kobiety polskiej grodził ją od niej i zdawać się mogło, że ścieżki tych dwojga ludzi nigdy razem prowadzić ich nie mogą. Przyjaciele to byli, niestety, którzy ich gwałtem popchnęli ku sobie, a raczej popchnęli jego ku niej, bo ona — ona, nie stroniła od niego bynajmniej, a ciekawa tej natury miękkiej, słabej a pełnej extaz poetycznych, żądna wrażeń nowych, jakieby tu spotkać mogła, zaraz owego wieczora dotarła do niego. Liszt odszukał przyjaciela i przyprowadził ją do niego, skrytego jeszcze poza kwiatami; że przecież na trzcinowej kanapce nie było miejsca na troje, zostawił ich samych, ale ta kobieta, dla której szalał Musset, nie miała w tej chwili jeszcze siły czaru nad Szopenem i cała dusza jego stawiała się przeciwko niej. Chcąc pochlebić patryotycznym jego uczuciom, zaczęła się przyznawać do łączności z Polską przez Maurycego Saskiego, ale właśnie smutny jej rodowód, wypowiedziany z zimną krwią pierwszy raz spotkanemu, wzmógł wstręt jego ku niej. Dziwił się takiej niewstydliwości w kobiecie, przytem wydawała mu się brzydką. Mówił z nią, wciąż stojąc, i długo uparcie nie chciał siąść obok na kanapce, a gdy nakoniec musiał to uczynić przez grzeczność, przez przyzwoitość towarzyską, sprawiło mu to przykrość. Nie zgadzali się ze sobą w poglądach, wszystkie ich zdania różniły się od siebie, jak niebo od ziemi, nawet pojęcie piękna było odmienne: u niego był to *anioł pokoju*, dla niej nawałnica namiętności, duch gwałtownej siły; przytem zdawało mu się ciągle, że cień Musseta stoi za nią i to wprawiało go w trwogę zabobonną, która odtrąciła go od niej.

Przy takiem jego względem Sand usposobieniu, zdawało się, że drogi tych dwojga ludzi nigdy przeciąć się nie mogą, że ta kobieta nie może być nigdy jego „nieszczęściem z płomiennemi oczyma.“ Ale jego przerażało to właśnie, że się czuł ostrzeganym. Czy trwogi doznawane nie były lękiem duszy jego przed nią? A owa woń tajemnicza... teraz powiedział sobie stanowczo, że to był *znak*, bo oto Sand wyziewała ją ze swych kruczych wijących się włosów, ze swojej szaty greckiej, niby niedbale, przecież umiejętnie zarzuconej na pełne kształty. Powiedział to na drugi dzień Grzymale, ale ten tylko śmiał się z niego. Człowiek był inny i właśnie chciał tego dla przyjaciela, czego tamten się bał: chciał dla niego ognia, w którym poeta spłonął, spalił na popiół duszę i ciało.

Pociągnął Szopena do Sand, aby wspomnienie Maryi W. zostało wygładzonem z jego pamięci i pchał go ku niej, podprowadzał podstępnie, Liszt służył mu w tem za pomocnika, dla względów innych. Przyjaciel szczery i uczciwy, szlachetny współczciciel Muzy jednej, pragnął dla karyery Szopena rozgłosu literackiego, jaki protekcya Sand dać mu mogła odrazu, bo królowała w świecie, który kładł na czoło artystów wawrzyny. Obaj też, tak Grzymała jak Liszt, działali z przyjaźni najczystszej, obaj byli przywiązani do Szopena sercem całem, i—złożyli się we dwóch na to, aby go pchnąć w przepaść...

Rozum ich zawiódł się, a nierozum, instynkt serca, jeden z tych cudów, o których nie śni się filozofom, byłby go ocalił.

UCZUCIOWI

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dalszy ciąg).

SCENA II-ga.

Kamilla. — Floryan.

Kamilla.

Oh, Boże, mimowolnie drżę cała.

Floryan (*do siebie*).

Zdawało mi się tak łatwem to wyznanie, a przecież.... (*bierze rękę Kamilli*).

Kamilla (*wzruszonym głosem. siada zwolna na jednem z krzeseł*).

Ponieważ znaleźliśmy się razem, więc słucham, co mi pan masz powiedzieć.

Floryan (*p. c.*),

Pani! przystąpię odrazu do rzeczy (*siada obok niéj*). Kocham cię tem silniej, im mniej gwałtownie wszczęło się to uczucie, o tak! bo jakkolwiek od pierwszego zaraz spotkania, uległem urokowi twojego spojrzenia, nie było to uczucie tej siły, co dziś, gdy mogę być zmuszonym, wyrzec się pani.

Kamilla.

Wyrzec się?... nie pojmuję.

Floryan.

Pojmiesz pani, gdy się dowiesz o wszystkiem.

Kamilla (*niespokojna*).

Co to znaczy?

Floryan

Nie wolno mi marzyć o szczęściu kosztem postępku nieuczciwego.

Kamilla (*j. w.*).

Nieuczciwego! pan?

Floryan.

I jeżeli się cofam przed nim ze wstrętem, głuchy na wszelkie namowy...

Kamilla (*wstaje*).

Przerażasz mnie pan!

Floryan (*wstaje także*).

Daruj pani, nie wiem sam, co mówię (*n. s., przeszedłszy się*)—Przecież ciotki oskarżać nie mogę. (*p. c. głośno*). Panno Kamillo! Dotychczas prowadziłem życie swobodne i bezmyślne, kochany, ubóstwiany niemal przez opiekunkę, która mnie psuła. Zdawało mi się, że poważna troska nigdy mnie nie dotknie: tymczasem rzeczywistość, aż nadto prędko odebrała mi to złudzenie (*p. c*). Przed tygodniem przybyliśmy tu bez żadnego określonego celu; ot tak, poprostu, w przejeździe do familii, dla odwiedzenia domu ojca pani, z którym moja ciotka zabrała w roku zeszłym znajomość u wód i który ją podobno zaprosił.

Kamilla.

Istotnie tak było, tam poznałam panią generałową, która nam się obiecała.

Floryan.

Wprawdzie ciotka robiła mi jakieś dalekie allusye do pani, zalecając ostrożność, abym, jak się wyrażała, nie opalił motylich skrzydeł przy płomieniu twych oczu, o których opowiadała cuda, cuda, niestety, słabe tylko dające wyobrażenie o tem, co ujrzałem.

Kamilla (*spuszcza oczy*).

Panie Floryanie!

Floryan.

Ale nie przywiązywałem do tego zbytniej wagi, jako ten, który z podobnych sytuacyi wychodził już nieraz obronną ręką, i jeżeli połechtana ciekawość roiła mimowolnie, to wiedziałem o tem, że, nie krępując się żadnem naprzód powziętem postanowieniem, będę miał wszelką swobodę działania.

Kamilla.

Doczegóż to wszystko zmierza?

Floryan (*p. c. przechodzi się*).

Tymczasem wkrótce po przybyciu tu musiałem się uczuć za pokonanego. Nie będę rozszerzał się nad tem, przez jakie koleje przechodziło rodzące się uczucie, tyle tylko powiem, że gdy z pewnych oznak miałem prawo wywnioskować, a później z ust pani usłyszałem, że mi sprzyjasz, szczęście moje nie miało granic. Niestety! dlaczegóż jakby przez ironią losu, przeznaczonem mu było trwać zaledwie chwilkę?

Kamilla.

Ależ na Boga! panie Floryanie, co się stało od tego czasu?

Floryan (*p. c.*).

Przybywając tu, byłem najmocniej przekonanym, że jako siostrzeniec generałowej i niemający rodzeństwa, byłem wyłącznym jej spadkobiercą; nie miałem najmniejszego powodu sądzić inaczej. Tymczasem dziś, przed godziną, w potocznej rozmowie z ciotką, dowiedziałem się, że tak nie jest.

Kamilla (*oddycha*).

A! więc to jest ta okropna tajemnica?

Floryan.

Tak, pani: jestem ubogi, nie mam nic.

Kamilla.

I tak to pan bierzesz tragicznie? Więc sądziłeś, że ta wiadomość wpłynie na zmianę mojego uczucia?

Floryan.

O, nie, pani, byłem prawie pewny, że odpowiedź pani będzie taką, jaką w tej chwili usłyszałem.

Kamilla.

Więc o cóż panu chodzi?

Floryan.

O to, że ja sam powinienem, muszę, wyrzec się nadziei, która mi się uśmiechała.

Kamilla.

Cóż to za egoizm!

Floryan.

Pani to nazywa egoizmem?

Kamilla.

A nie inaczej. Czy panu się zdaje, że masz prawo nieprzyznawania mi głosu w kwestyi, która obchodzi mnie w tymsamym stopniu, co i pana? O, bardzo przepraszam! Mogę pojmować pańskie skrupuły, nawet sympatyzować z niemi, ale i ja także chcę być egoistką: w tym przypadku każdy mnie usprawiedliwi (*bierze jego rękę*), bo staję w obronie mojego szczęścia, (*z uśmiechem*): powiadam tedy, że ani myślę zwalniać pana ze zobowiązań, które przyjąłeś w najlepszej wierze.

Floryan (*trzyma jej rękę*).

Panno Kamillo! Wszelkie deklamacye na temat przesadnej drażliwości byłyby z mojej strony nie w swojem miejscu, ale odpowiem najprostszemi słowy: chodzi mi o moję godność. Wierzę, że mnie kochasz, ale jestem przekonany, że ojciec, dowiedziawszy się o stanie rzeczy, będzie robił trudności, a zwalczać jego uprzedzenia kosztem poniżenia się....

Kamilla (*prędko*).

Panie Floryanie, ręczę panu, że ojciec pragnie tylko mojego szczęścia.

Floryan.

O, bezwątpienia, chodzi tylko o to, jak kto sobie to szczęście wyobraża. Gdybym był milionerem....

Kamilla.

Jak pan możesz mówić coś podobnego?—on mnie kocha!

Floryan.

I o tem nie wątpię — ale nie łudzę się ani na chwilę co do brzmienia odpowiedzi, jakąbym usłyszał, gdybym miał tyle odwagi, żeby.... (*z rozpaczą niemal*) Ale czyż mógłbym ją mieć! na Boga! postaw się pani na chwilę w mojem położeniu.

Kamilla (*p. c. spokojnie*).

Nim panu na to odpowiem, zapytam: jakie są pańskie zamiary?

Floryan.

Chcę się udać do Warszawy, aby wyrobić sobie jakąś przyzwoitą pozycyą pomiędzy ludźmi. Mam prawie pewność umieszczenia się przy redakcyi pisma, które prowadzi ojciec jednego z moich kolegów. Nie jestem bez pewnych zdolności literackich, które w szkołach, pomimo zachęty nauczycieli, zaniedbywałem przez lenistwo. Cel, jaki obecnie będę miał przed oczyma, doda mi energii i będzie bodźcem do pracy. Skoro tym sposobem stanę na stopniu pewnej niezależności, wówczas dopiero będę mógł z czystem sumieniem i podniesioną głową....

Kamilla.

A teraz?

Floryan.

Teraz nie mogę tu pozostać ani na chwilę, znalazłszy się w takiej sytuacyi.

Kamilla.

I to jest nieodwołalne pańskie postanowienie?

Floryan.

Tak, pani (*bierze jej rękę*). O, nie sądź, aby mi to przychodziło bez walki z sobą, gdy zostawiam wszystkie moje nadzieje na niepewne losy.

Kamilla.

W ręku zmiennej kobiety.

Floryan.

Mój Boże! pani możesz w tej chwili żartować?

Kamilla.

Bom spokojna, bo panu ufam, bo wiem, że powrócisz—rozumie się, jeżeli odjedziesz, bo w to jedno jeszcze mimowolnie nie wierzę.

Floryan.

Jakto? po tem, co powiedziałem?

Kamilla.

Nawet.... może to tylko upór kobiecy, ale tak jest; zresztą—wszakże przysłowie francuzkie powiada, że co chce kobieta, Bóg to chce.

Floryan (*całuje jej ręce, poważnie*).

Muszę jechać, najdroższa pani moja—i pojadę.

Kamilla.

Pozwól pan tylko jeszcze, abym się rozmówiła z ojcem, który właśnie, zdaje mi się, nadchodzi (*słychać kaszel radcy*). Jestem pewną jego przywiązania i dlatego upoważniam nawet pana, abyś wysłuchał naszej rozmowy.

Floryan.

Daruj pani; samabyś potem żałowała, a i ja nie miałbym do tego siły.

Kamilla.

Kiedy ja pana proszę o to. Tym tylko sposobem rozwieją się pańskie skrupuły.

Floryan (*stanowczo*).

Nie, pani!

Kamilla.

Więc nie ciekawy pan będziesz rezultatu?

Floryan.

Usłyszę go z ust pani, a jeżeli będzie — czego prawie jestem pewny—niepomyślnym, wyjeżdżam natychmiast.

Kamilla (*ściska jego rękę*).

Niedowiarek! (*Floryan odchodzi do domu, ucałowawszy jej ręce*).

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 10 Sierpnia 1883 r.

Plamy na słońcu.—Trzęsienie ziemi i katastrofa na Ischii. Choroba hr. Chamborda —Żywa sprawa.—Exportacya Ludwiki Michel do centralnego więzienia w Clermont. — Choroba p. Zoli; tysiączne wydania jego powieści i jego popularność. — Jeszcze kilka rysów pozytywisty. — Wiktoryn Sardou, jego proces z Uchardem, broszura *Moje plagiaty*. — Nowa książka p. Ben-Loewa *Prawa historyi*. — Ciekawe i nowe poglądy na filozofią historyi. — Podział przedmiotu, konkluzya autora. — Odwrotna strona: religia i wiara. — Książka p. Lasserre'a *Les Episodes miraculeux de Lourdes*. — Epilog processu Ucharda z Sardou; wyrok trybunału.—Najnowsze wiadomości o autorze *Ulany*.

Nie możemy się uskarżać wcale na zbyteczne i nieznośne upały w tym roku: więcej wody niż słońca, to nasz ordynaryusz; przecież w rzadkich chwilach, kiedy *złoto-włosy Febus* ukaże się światu, czuć, że coś płonie i gore! Astronomowie nas zapewniają, że coś się tam rozdarło na jego powierzchni i że plama, niesłychanej i niewidzianej dotąd wielkości, zbrudziła jasną tarczę słoneczną.

Tymczasem, zanim słońce zgaśnie, i nasza stała ziemia zadrżała nagle, a jej wstrząśnienie, lekkie i słabe, w przeciągu 15 sekund zwaliło miasto Casamicciola na wyspie Ischia w Zatoce Neapolitańskiej, i w ruinach jego legło przeszło 5.000 osób. Ludzie tymczasem pięścią odgrażają się niebu!

A, ludzie! — ziemia rusza z swych posad, walą się miasta, słońce gasnąć się zdaje, okropna cholera grasuje w Egipcie: a ludzie, zawsze ciżsami, zawsze niepoprawni, ani na jednę jotę nie chcą ustąpić ze swych nadziei, ze swej nienawiści, ze swego wiecznego zaślepienia i ów „Audax Japeti genus“ Horacego i dziś jeszcze jest równie zhardziałym, jak ośmnaście wieków temu.

Każdy ma swoję mrzonkę i tej z pilnością dogląda. Nagła i ciężka choroba hrabiego Chamborda, alias Henryka V-go, zakłopotała była na chwilę tutejszych polityków. Nadstawiano ucha na wiadomości z Frohsdorfu; wyłupiano oczy w tę stronę; potem, niebezpieczeństwo przeszło; *Roy* żyje!—a więc szukajmy innego pokarmu.

A kiedy świat się tak zajmuje chorobą króla *in petto*, nikt nawet nie wspomni, że pod kluczem Prusaków, najuczciwszy z ludzi, twórca narodowej powieści, męczy się nieznośnie, trawiony więzieniem, choć teraz już domowem, i chorobą. Ostatni list, otrzymany przed kilku dniami, przynosi najsmutniejsze wiadomości, o zdrowiu Kraszewskiego; oprócz innych dawniejszych symptomatów choroby, dziś mu nogi od siedzenia puchną.

Dużo w świecie rozprawiano i rozprawiają dotąd o wolności; ale nigdzie i nigdy nie zmniejszyło to prześladowania i więzień, bo w imię tejsamej wolności, przed którą upadają na twarze, tyleż, jeśli nie więcej, widzimy padających ofiar, ile ich padło od początku świata.

Tegosamego wieczora, kiedy w Paryżu i w całej Francyi, obchodzono święto narodowe, w chwili, kiedy na wszystkich ulicach zapalano latarnie i rzęsiste światło radości, w więzieniu św. Łazarza oznajmiano Ludwice Michel, aby przygotowała na jutro swój tobołek „*son paquet*“,—jest to uświęcone wyrażenie—i w jednej chwili tobołek cały, w chusteczce od nosa, był gotów do drogi.

W Niedzielę d. 15 Lipca o godzinie piątej zrana dwóch policyantów towarzyszyło jej w tej nowej podróży, do nowego centralnego więzienia w Clermont, dokąd, po trzygodzinnej podróży koleją żelazną, o godzinie ósmej, przybyła „Wielka Ludwika“.

Dyrektor więzienia, który jej oczekiwał na dworcu, odezwał się uprzejmie do swej nowej pensyonarki:

— Wcześnie dziś pani przybywasz.

— Proszę mię nie chwalić, bo nie z mojej winy jestem rannym ptaszkiem.

Nie jestem ja ani stronnikiem, ani wielbicielem tej pani; powiadam przecież, że jest nad czem pomyśleć—bo cóż to za dziwny zbieg rzeczy! Ten dom więzienia, Dom Centralny w Clermont, jest to dawniejszy zamek królewski; a Ludwika Michel zajmuje pokój, w którym, w 1269 r., urodził się jeden z królów francuzkich, Karol-Piękny.

Pani Michel, uważana jako więzień stanu, nie jest bynajmniej zmuszaną, ani do wspólnej pracy więziennej, ani do wspólnego dla wszystkich odzienia; ale zawsze—siedzi w więzieniu.

Wszyscy jej przyjaciele, doradzcy, z Rochefortem naczele, sarkają na to i wołają o amnestyą; ale Rzeczpospolita, rzecz zbiorowa, bezimienna, ma ciężką rękę i liczne kategorye i stopnie. Nim się to po tej nici dojdzie do kłębka, biedne to obłąkane stworzenie ma czas do namysłu i—poprawy....

Odbieram w tej chwili wiadomość o ciężkiej chorobie p. Zoli; gdzieś u wód, w domu przyjaciół, zapadł obłożnie. Czy to prawda? sprawdzić nie mogę; ale to mi przypomina, że właśnie w chwili jego wyjazdu spotkałem autora *Obucha* na dworcu kolei żelaznej i żeśmy część drogi w jednym wagonie odbyli.

Było to świeżo po ukazaniu się na świat jego powieści *Au bonheur des Dames*. Zaopatrzyłem się w nią na drogę i pokazywałem mu ze zdumieniem większemi literami wybite na żółtej okładce: *Pięćdziesiąty tysiąc*. Uśmiechnął się niedbale i powiedział: „Pan wiesz!“—należało się domyślić: jak się to fabrykuje.

Dawniej już wytłómaczyłem tu, jakim to sposobem tworzą się owe „tysiączniki“ wydań. Jest to nowy i całkowicie handlowy sposób—mnożenia i rozpuszczania książek, nieznany wcale w przeszłości. Nie ma on nic wspólnego z literaturą i wartością książki; potrzeba tylko wziętości autora i ponętnego tytułu dzieła.

Jest to handelek podobny do tego, jaki prowadzą na giełdzie meklerzy zapomocą papierów tureckich, amerykańskich i t. d.

Nie chodzi tu wcale o to, czy publiczność nabywa i jest roznamiętnioną do tej lub innej wartości finansowej, ale o wykonanie danego rozkazu z góry, od tego lub owego domu bankierskiego, mającego na bursie wpływ i znaczenie. Tu dom bankowy zastępuje znany i czynny wydawca.

Pan Maupassant, jeden z młodych zwolenników pustelnika z Medanu, tak się wyraża o wziętości p. Zoli;—a chociaż pochwały jego, są może przesadzone w wyrażeniach, w gruncie są przecież prawdziwe, co do samej rzeczy. „Żaden pisarz—powiada recenzent obligowany—nie jest dziś tak znanym i rozpowszechnionym po całym świecie, jak Zola; w najmniejszem miasteczku, nawet pozagranicami Francyi, znajdziesz jego dzieła, u wszystkich księgarzy w każdej czytelni. Najzawziętsi przeciwnicy, nie zaprzeczają mu talentu, a pieniądze, na których mu tak zbywało niegdyś, dziś płyną do niego, jak „woda“.

„Rzadki los spotkał Emila Zolę; za życia otrzymał to, co mało kto zdobywa po wielu latach pracy i znoju: sławę i pieniądze! Można łatwo zliczyć, i tutaj nawet, pisarzów i artystów, na których spadła ta niebieska manna; kiedy tymczasem ci, co się stali sławnymi po śmierci, a których dzieła, sprzedały się na wagę złota dopiero na rzecz wnuków lub prawnuków — stanowią niezliczony poczet!“

Tak jest wistocie! ale wróćmy na kolej. Jużem dał dawniej pobieżny szkic czytelnikom *Bluszczu*; sprobuję dziś poprawić i wykończyć ten pierwszy rzut ołówka i pokazać go w sposób, jakim mi się przedstawił w tej ostatniej podróży.

Zola musi mieć dzisiaj czterdzieści lub czterdzieści dwa lata; powierzchowność człowieka odpowiada dość dobrze usposobieniu pisarza, jakim go znamy ze słynnych powieści: średniego wzrostu, dobrej tuszy, odkarmiony jednak na mięso, a nie na tłuszcz—samotnik z Medanu wygląda z pozoru dobrodusznie i przedstawia się śmiało, ale z wielką zarazem prostotą. Głowa duża; w rysach wyraz rozumu i charakteru silnego z dodatkiem uporu; ale nie widać w nich ani śladu uniesienia lub wyobraźni ognistej. Włosy strzyżone krótko, jeżą się gęsto jak szczecina ponad czołem szerokiem, mięsistem, spokojnem, bez wypukłości, fałdów i zmarszczków; czoło to wygląda raczej na czoło wolarza lub młynarza, ale nie na czoło pisarza powieści. Nos prosty, trochę rozszerzony u spodu, zatrzymuje się nagle, jakby nożem ucięty, a ztąd wydaje się zbyt krótkim ponad zwierzchnią wargą, którą wraz z ustami przysłaniają czarne, gęsto zarosłe wąsy.

Cała część dolna tej, pyzatej trochę, ale energicznej twarzy zarosła jest gęstą, krótko przy samej skórze przystrzyżoną, brodą. Oczy czarne, oczy krótko-widza, mają spojrzenie przenikliwe, świdrujące, że tak powiem, zwykle uśmiechnięte wesoło, a często ironiczne i złośliwe. Całe to oblicze oddycha dobrodusznością; ale, jakby na przekorę temu wyrazowi twarzy, pewien ściąg szczególny wywraca dość zabawnie wierzchnią wargę do góry i zmusza usta jakby do szyderskiego uśmiechu.

Takim jest człowiek fizycznie-moralny, w obcowaniu swobodny i łatwy; w rozmowie, jak każdy Francuz, gładki, obfity, bez pretensyi i bez znużenia dotyka każdego przedmiotu: ale nie widać ani szerokiego poglądu w myśli, ani rozległej nauki. Rozmowa z p. Zolą nie jest zapewne nużącą, ale nie zostawia żadnego głębszego, spodziewanego, wrażenia.

Najdoskonalszem przeciwieństwem pana Zoli w gromadzie tutejszych literatów jest Wiktoryn Sardou. Oile u Zoli wszystko jest pełne, zaokrąglone, otyle Sardou jest poorany, śpiczasty. Z twarzą smagłą, suchą, czysto wygoloną, z włosami długiemi, przyczesanemi i zarzuconemi w tył głowy, za uszy—Sardou z pierwszego wejrzenia ma minę księdza, albo kobiety przebranej pomężku. Ale oczy—ach, te oczy!—świdrują cię i kłują a usta śmieją się szydersko, złośliwie. Jednem słowem, jak to powiadają u nas, niedobrze mu patrzy z oczu. Chudy, szczupły, ruchawy, jest to chodzący obraz człowieka cierpiącego na nerwy.

Nawinął mi się dziś Sardou pod pióro—najpierw zpowodu portretowego przeciwieństwa z Zolą, a następnie zpowodu literackiego procesu i sprytnej broszury.

Wspomniałem już wam dawnie i wyłożyłem wówczas szczegółowo wszelkie pretensye, jakie wywołała jego *Odette* ze strony autora *Fiamminy*, p. Mario Uchard'a. Pretensye te i proces są dosyć zabawne. Wychodząc z tego założenia, że „nic nowego pod słońcem“, możnaby każdemu wytrącić pióro z ręki; niema bowiem przedmiotu, którego-by się już ktoś w świecie nie dotknął przed nami. A więc wszystko jest plagiatem! Pretensya to przesadzona i śmieszna, bo w literaturze układ, forma i język są jedyną indywidualną cechą.... Jest to tak dalece niezaprzeczoną prawdą, że, przyjąwszy przeciwną zasadę, największym „kradziejem“ trzeba będzie nazwać—nieśmiertelnego Shakespeare'a!

Proces dzisiejszy pomiędzy pp. Uchardem i Sardou jest to prawdziwie tylko literacka reklama dla obu; bo co tu w tej sprawie stanowi ten lub ów wyrok trybunału! To też Sardou, gotując się do processu, wydał broszurkę, która jak wszystko cokolwiek wychodzi zpod pióra tego dramaturga, jest dowcipna i sprytna niezmiernie. *Moje plagiaty*—taki jest tytuł, a chociaż na jej wypuszczenie w świat, autor i wydawca czekają końca sprawy i wyroku przecież wiemy już, dzięki niedyskrecyi, niby-to dziennikarskiej, co się w niej zawiera.

Sardou opowiada całe swoje zajście z Mario Uchardem. Niema dziś wątpliwości, że proces ten skończy się na niczem, albowiem już i prokurator zakonkludował w tym sensie. I jak-że to może się stać inaczej? Jak to sędziowie mogliby rozplątać w trybunale, tę subtelną przędzę, z której wyszły *Fiammina* i *Odetta*? Nikt nie przeczy zapewne, że w obu przedmiot jest tensam; ale wykonanie i układ dramatu—są tak niepodobne do siebie, jak niebo do ziemi, i tylko zgryźliwy autor *Fiamminy* mógł tam dopatrzyć jednostajności, gdzie było jedynie słabe, dalekie, przypadkowe podobieństwo.

Ażeby dać wyobrażenie czytelnikom moim: w jaki sposób Sardou „obrobił“ swego napastnika Ucharda, przytoczę tu słów kilka z jego broszury, tyczącej się całej tej sprawy. Wpoczątku odwoływał się zaczepiony na sąd kommissyi czysto literackiej „Stowarzyszenia pisarzów“ (Société des Gens des Lettres), ku czemu i p. Uchard zdawał się skłaniać.

— Ale—powiada złośliwy syn Arystofanesa—im silniej nalegałem, abyśmy się zdali natychmiast na literacką kommissyą, tembardziej się Uchard wymykał, zapomocą najdziwniejszych wybiegów. Od d. 29 Listopada do d. 13 Grudnia korrespondencya nasza w tym względzie, może się streścić do następującej, słodko-kwaśnej rozmowy:

Uchard — Przyjdź, zobaczyć się zemną, drogi przyjacielu; ja nigdy nie wychodzę z domu przed 11-tą godziną zrana.

Ja—Co za zdarzenie! ja również nie wychodzę z domu, przed tą godziną.

On—To przyjdź wieczorem — rozmówimy się przy filiżance herbaty....

Ja—Nie, herbata mi szkodzi.

On—To się napijesz czego innego.

Ja—Nie... ale to trzeba przepisać dosłownie, tłómaczenie popolsku jest niemożebne. (Non, je ne veux rien prendre, ni qu'on me prenne rien)!

On—(z goryczą). A więc nie chcesz przyjść do mnie?

Ja—(stanowczo). Nie chcę!

I tak od początku do końca: lepiejby więc zrobił ten biedny Uchard, gdyby był nie zaczepiał takiego człowieka.

(Dokończenie nastąpi)

Z DZIAŁU PRZYRODY.

O wpływie rosy na rośliny.

(Dokończenie).

Wyda się nam może dziwnym i nieprawdopodobnym, a jednak jest prawdziwym, ten fakt, że do najnowszych czasów, fiziologia nie zaprzątała się całkiem rozwiązaniem tego zadania. Zwykle tak bywa z codziennemi, spowszedniałemi dla nas zjawiskami. Mając je przed oczyma codziennie, wcale na nie uwagi nie zwracamy. Dziecię nas zapytuje: dlaczego bursztyn przyciąga do siebie źdźbło papieru, lecz nie zada nam pytania: dlaczego kamień spada na ziemię? Czyż wyklucie się kurczęcia z jajka nie jest cudowną transformacyą? a jednak kto z nas zaprząta się jej objaśnieniem i czy kogo ona zadziwia?

Rozwiązywaniem podobnych zagadnień zajmuje się wiedza; lecz pomimo jej postępów wiele jeszcze pytań oczekuje od niej odpowiedzi.

Juliusz Wiesner zapoznaje nas z wpływami rosy na roślinność, opierając swe spostrzeżenia na długoletnich doświadczeniach; zanim jednak przejdziemy do rezultatów jego obserwacyi, zobaczymy, jaki przed nim był pogląd na tę sprawę, botaników i fiziologów.

St. Hales, genialny twórca doświadczalnej fiziologii roślinnej, przyjmował, że roślina usposobioną jest do assymilowania spadających kropli wody, w postaci deszczu i rosy, a to za pośrednictwem swych liści i naczyń na jej powierzchni rozpostartych; przyznawał też deszczowi równie jak rosie, orzeźwiający wpływ na rośliny. Hales sądził niemniej, równie jak botanicy w. XVIII, że rosa i woda deszczowa przywracają roślinie utracone soki. Zapatrywania się jednak na ten przedmiot Halesa nie były udowodnione doświadczeniami. Dla rozplątania węzła tej kwestyi należało okazać: czy roślina usposobioną jest do assymilowania wody pod postacią pary i przetwarzania tejże odpowiednio w swym organizmie. Otóż słynny botanik Franciszek Unger, Wiedeńczyk, udowodnił wbrew oczekiwaniom uczonych, że roślina bynajmniej nie posiada własności assymilowania

wody spadającej kroplami, za pośrednictwem naczyń pozostających na jej powierzchni; liście zaś pochłaniają wodę czerpaną z ziemi.

Wskutek tego przyjęto, że cały zasób wody, jaką roślina posiada, pochodzi z ziemi, a liście i naczynia rośliny nie mogą pochłaniać wody zzewnątrz. Takie pojęcia w zakresie tej kwestyi, utrzymywały się do końca r. 1850. Wkrótce potem, a mianowicie w r. 1861, znakomity botanik I. Sacs rozpoczął seryą doświadczeń, dotyczących działania rosy na rośliny. Wyniki jego badań są następne: Ilość rosy przyswajanej przez roślinę jest bardzo małą; — jeżeli liście posiadają znaczny zasób wody, w takim razie wcale nie assymilują rosy; — rolę fiziologiczną odgrywa rosa przy wschodzie, i w krótkim tylko przeciągu czasu po wschodzie słońca, a funkcyonowanie wówczas korzenia jest wielce słabem, wskutek bowiem oziębienia się ziemi w tej porze, nie mogą korzenie całkiem czerpać wody z ziemi, a jeżeli ją chłoną, to w bardzo małej ilości. Przeciwnie wraz z pierwszym promieniem słońca, zatrzymującym się na liściu, woda w nim zawarta ulatnia się. Gdyby liście nie były zroszone przy wschodzie lub przez krótki czas po wschodzie słońca, to wydzielałyby parę wodną, nie wynagradzając sobie tego ubytku wodą pochodzącą z ziemi, a temsamem musiałyby więdnąć. Ze spostrzeżeń tych wypływa, że zadaniem rosy jest zabezpieczenie liści roślin nizko się krzewiących od szybkiego parowania. Pogląd ten jest najzupełniej usprawiedliwionym. Badania Sacsa zapoznały nas z osobliwszą własnością korzeni roślinnych, które w nizkich temperaturach utrzymujących się wszakże powyżej zera, przestają funkcyonować, lub też działalność swą do minimum redukują. Od prawidłowego użytkowania korzeni z tej ich własności zależy zabezpieczenie rośliny od zmarznięcia.

Niektóre rośliny, jak: tytuń, arbuz, w porze nocnej, gdy temperatura obniża się do 1 lub 2 stopni Celsiusza powyżej zera—martwieją, gdy tymczasem inne, w tychżesamych warunkach pozostające, zachowują zupełną świeżość. Pochodzi to ztąd, że tytuń i arbuz nie czerpią z ziemi całkiem wody, a na powierzchni ziemi znajdujące się organa roślinne, bez przerwy wypalają się, wskutek też tego, martwieją, czyli, używając niewłaściwego wyrażenia się ogrodników: marzną. Gdy rosa jest obfitą na roślinie, zmarznięcie to nie może nastąpić — widocznie więc od niego ochrania roślinę rosa.

Ponieważ nigdy nie marzną rośliny w temperaturze kilku stopni powyżej zera, gdy są zroszonemi, to o zabezpieczającym je od zmarznięcia wpływie rosy wątpić niepodobna.

Sacs jednak w badaniach swych nie zaobserwował dwóch faktów, a mianowicie pierwszego: że ilość zzewnątrz przez liście przyjętej wody jest nierównie większą niż przypuszczał, i drugiego: że nawet małe ilości wody czerpane zzewnątrz przez liście, po wyparowaniu jej uspasabiają korzystnie liście do odżywiania się.

Nie możemy się dziwić tym błędom obserwacyi uczonego botanika niemieckiego, gdyż w części opierał się on w swych badaniach na poglądzie swych poprzedników, według których, liście niezwiędłe, absorbują bardzo mało rosy i wody z powietrza.

Według najnowszych doświadczeń Wiesnera, roślina której korzenie zagłębionemi są w wilgotnej ziemi, a ponad nią mająca organa pozostające w wilgotnem powietrzu, przyjmować może jeszcze zzewnątrz, pomimo tych warunków, skropioną parę wodną. I tak liście gduły (Cyclamen europaeum) absorbują w tym razie z powietrza do 2% wody,—liście zaś wilczej wiśni, stosownie do wieku tej rośliny, 3 do 5% wody.

Roślina czerpie wodę z ziemi przez komórki korzenia, z powietrza przez liście, a choć jest dostatecznie zaopatrzoną w wodę pozyskaną z ziemi, jeszcze ją i zzewnątrz absorbuje.

Drogi, któremi dostaje się woda z powietrza do liści, są zupełnie inne od doprowadzających wodę z ziemi. Rosa wysysaną jest przez komórki kory, jakkolwiek te zdają się być szczelnie zawartemi, woda zaś z ziemi pochodząca wydzielaną bywa przez otwory znajdujące się pomiędzy komórkami, kommunikującemi z kanałami powietrznemi tkanki liścianej. Woda z powietrza przez liście assymilowana, wpływa jaknajkorzystniej na organizm rośliny, gdyż rosa zaopatruje obficie roślinę w wodę i nadaje jej ową świeżość, której brak roślinom niezroszonym. Nawet i wtedy, gdy ilość wody przez rosę roślinie dostarczana dochodzi zaledwie 1 do 2% wagi liścia, wpływ tej maleńkiej ilości wody jest dla rośliny dobroczynnym.

O tym wpływie rosy na rośliny przekonać się może każdy wielce prostem następnem doświadczeniem.

Odciąwszy kilka świeżych liści z jakiejkolwiek rośliny, naprzykład z bzu, i zachowując je przez kilka godzin w wodzie, spostrzeżemy z ubytku wody, że listki te w części ją pochłonęły. Przez obfite nagromadzenie się wody w komórkach liść pęcznieje; gdybyśmy go zważyli przed zanurzeniem w wodzie, a następnie powtórnie po wydobyciu z niej, to-by okazało się zwiększenie wagi od 5 do 10%, a nawet przybytek mógłby być większym. Widocznie więc liść wodę pochłonął.

Gdybyśmy odcięli kilka liści świeżych z jakiej rośliny, tychsamych wymiarów prawie, co liście zanurzone w wodzie, i pozostawili je na otwartem powietrzu, obok liści wyjętych z kąpieli wodnej, to bylibyśmy zdziwieni, dostrzegłszy, że te ostatnie pomimo wielkiego zasobu wody, jaki posiadają, prędzej zwiędną i uschną od pierwszych.

Z doświadczenia tego, znanego od pewnego czego, dotąd fiziologia nie użytkowała.

Wiesner, chcąc poznać jak się zachowywać będą liście, nieodcinane od rośliny, lecz wraz z nią zanurzane w wodzie, odbył odpowiednie doświadczenia i przekonał się, że po zamoczeniu w wodzie liść nieodłączony od rośliny, zachowuje się taksamo, jak od niej odcięty. Obydwa więdną i usychają po wyjęciu z wody prędzej od liści świeżo zerwanych i całkiem niezwilżanych.

Jeżeli jednak liści nie będziemy odłączać od drzewa, lecz przez pewien czas utrzymywać je w wodzie, a następnie z niej usuniemy, to liście te więdnąć nie będą, lecz zachowają całą swą świeżość.

Wynika ztąd fakt dotąd całkiem nieznany a osobliwy, mianowicie ten, *że liść zwilżony, lecz pozostający w związku z rośliną, silniej się wypaca, i prędzej wodę filtruje od liścia niezwilżonego.*

W fakcie tym znaleźć możemy objaśnienie wpływu rosy na rośliny, a niemniej deszczu i sztucznej irrygacyi.

Pocenie się roślin, a w następstwie wydzielanie przez nie wody w postaci pary, wielką też w ich życiu, zwłaszcza w życiu drzew, odgrywa rolę.

Od tego pocenia się zawisłą jest po większej części assymilacya wody i materyi pokarmowych z ziemi pochodzących, tudzież krążenie soków w całym organizmie roślinnym. Gdy z jakiejkolwiekbądź przyczyny parowanie w roślinie powstrzymanem zostaje, soki w niej krążą powolniej i liść opada.

Spadanie w jesieni liści drzewnych, przedstawiających żywą zieloną barwę w porze letniej, wynika ze zmniejszonego pocenia się ich, wywołanego ubytkiem światła i ciepła, a temsamem oziębionego i wilgotnego powietrza. Wskutek tych warunków znacznie zmniejsza się parowanie.

Widzimy ztąd: jak jest ono ważną funkcyą w życiu rośliny. Zroszenie liści przynosi dwie korzyści roślinie: pierwszą jest ta, że w porze nocnej, przed wschodem słońca, rosa zabezpiecza liście od nadmiernego wypacania się; drugą zaś ta, że w skutek rosy odbywa się prawidłowe krążenie soków w roślinie.

Powiedzieliśmy wyżej, że rosa osadza się obficiej na wierzchniej stronie liści, niż na dolnej, tu dodać winniśmy, że liście dolną stroną chłoną wodę w krótszym nierównie czasie, niż stroną wierzchnią. Zwiększony wszelako stopień parowania wody i krążenia soków nie jest bynajmniej dla rośliny korzystnym, jeżeli ta znajduje w ziemi małą ilość wody. W tym stanie rzeczy liście roślinne choćby najobficiej pokryte były rosą, jeżeli nie mają odpowiedniego zasobu wody w ziemi, więdnieć muszą i to w krótszym czasie od tych, które całkiem zroszonemi nie były. Wynika ztąd, co zresztą jest zgodnem z obserwacyą ogrodników, że w tych warunkach rosa może być dla roślin szkodliwą. Ze spostrzeżeń tych lubownik flory wiele korzystać może w pielęgnowaniu roślin. Powinien on nie zapominać nigdy o tem, że polewanie liści wodą jest wówczas tylko dla rośliny pożytecznem, gdy ona posiada ziemię dostatecznie zwilżoną. Jeżeli więc zaniedba zwilgocić ziemi, w której zagłębione są korzenie rośliny, to polewanie wyłączne liści na nic się nie przyda, i ten tylko rezultat sprowadzi, że roślina zwiędnieje i uschnie.

Szkodliwy wpływ polewania liści przy małym zasobie wody w ziemi uwidoczni następne doświadczenie. Jeżeli liście zaczynającej więdnąć rośliny, hodowanej w doniczce, zanurzymy w wodę na jednę lub dwie godziny, a następnie usuniemy je z tej kąpieli, to roślina z wejrzenia wyda się nam odświeżoną; po upływie jednak bardzo krótkiego czasu zacznie więdnąć i schnąć bardzo szybko. Przeciwnie, jeżeli liście więdniejącej rośliny, zanurzymy w wodzie, a razem zwilżymy ziemię w doniczce, to po wyjęciu liści z wody otrzymamy roślinę całkiem odżywioną i świeżą.

Rosa, jak wspomnieliśmy wyżej, wytwarza się najobficiej po silnych deszczach lub długotrwającej słocie, a to dlatego, że wówczas powietrze jest do zbytku nasyconem wodą, przyczem dolna strona liści silniej chłonie wodę, niż strona ich wierzchnia.

Roślina silna, zdrowa, mniej potrzebuje deszczu i rosy, wątła zaś, więdniejąca—więcej. Liście tej ostatniej zwijają się kończynami ku górze i zwieszają ku dołowi. W czasie deszczu dolna tylko powierzchnia liści zwilżoną zostaje i ta absorbuje więcej wody, niż strona ich wierzchnia. Zwilżenie dolnej powierzchni liści staje się zwłaszcza widocznem, gdy przy silnym wietrze deszcz pada w kierunku skośnym.

Uszkodzenie rośliny wskutek silnego pocenia się nigdy po deszczu nie następuje, gdyż wówczas ziemia tak obficie zasilona jest wodą, że roślina z łatwością ją filtruje.

Przyczyna powiększonego pocenia się rośliny, po ulotnieniu się kropli wodnych, jest czysto-fizyczną; gdyż wskutek zwilgocenia liści, nabrzmiewają błonki powierzchni liścianej, a niemniej i komórki w głębi liścia rozpostarte: temsamem więc zmniejsza się opór stawiany parowaniu, jak to zresztą okazały doświadczenia z wodorostami. Rozszerzone w tym razie kanały tkanki komórkowej ułatwiają wydzielanie się wody nazewnątrz.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci powieści pod tyt.: **Orli lot.**

TREŚĆ. Władysław Ludwik Anczyc, (Wspomnienie) przez Stanisława Krzemińskiego. — Polka i Amerykanka, powieść, przez Sewera. — Duch kwiatu. — Uczuciowi, komedya, (dalszy ciąg), przez Józefa Blizińskiego. — Nowiny paryzkie. — Z działu przyrody.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Августа 1883 года.